



Karol Ludwik Koniński

**STRASZNY CZWARTEK
W DOMU PASTORA**

Karol Ludwik Koniński

Straszny czwartek w domu pastora

.....

Fundacja FESTINA LENTE

Aż do dnia 22 września roku 1912, godz. 10, 00 min., 16 sek. czas pastora Hubiny płynął powoli i – jak się to mówi – normalnie. Dopiero w tym momencie nastąpił nagły i niespodziewany przybór zdarzeń i w ciągu kilku minut zmieniło się wszystko.

Z myślą tego opowiadania nosiłem się od dawna; brakło mi tylko anegdoty; aż raz – przeczytana notatka dziennikarska olśniła mnie. Rzuciłem się na nią łapczywie... i ze wstydem... Ale już trzeba było zerować na tym fakcie, niestety, rzeczywistym. I już wywinął się jak z kłębka cały mechanizm zdarzenia. Co robić! To było straszne, to było rzeczywiste, ale już mnie cieszyła precyzja chronologiczna tego mechanizmu. Gdyby się jakikolwiek z elementów byt w tempie swym opóźnił o chwilkę, może by się było całe zdarzenie w puch rozbiło – i nie byłoby się nic stało. Ale stało się, stało się wszystko, bo akurat, przypadkowo tak się zbiegły czasy – czasy obce sobie i błahe.

Dlatego czas – czas bezsensowny, czas podejrzany, czas zbrodniczy – musiał być wymieniony na wstępie i w samym już nagłówku opowiadania.

I

Dnia poprzedniego wieczorem pastor Hubina otrzymał zawiadomienie od leśniczego w Trysłach, że oczekiwany jest na polowaniu na dziki (pastor Hubina był zamiłowanym myśliwym); razem z nim miał jechać lekarz z Przygórza, a wyjechać mieli wcześniej rano bryczką, którą leśniczy obiecał przysłać. Niestety, pastor Hubina swój wyjazd musiał opóźnić, bo o godzinie 9-tej miał pogrzeb, a raczej – jak w tamtych stronach mówią – „pogrzebek” starej Jamrózki, na który cała parafia wybierała się, była to bowiem kobieta ogólnie szanowana. O godzinie 10 min. 15 odchodził pociąg do Tryseł, pastor miał nadzieję zdążyć nań, w leśniczówce być około dwunastej i podążyć za myśliwymi do lasu. Jak nadmieniał już, pastor Hubina lubił polowanie. Mawiał, że jest to „najlepsza sposobność do chwilowego odczłowieczenia się”.

Towarzysze z obowiązku ambicji myśliwskiej (bo nie z ochoty filozofowania nad polowaniem) udawali, że się taką oceną myślistwa gorszą. Na co pastor Hubina replikował: „A cóż panowie myślicie? Czy człowieczeństwo nie jest diabelnie trudną rzeczą? Dlaczegoż to – jak sobie panowie przypominacie – Horacy napisał: *Dulce est desipere in loco*, słodko jest zgłupieć czasem? Polowanie jest właśnie takim zgłupieniem, ale mającym tę wielką wyższość nad innymi zgłupieniami, że odbywa się w dobrym powietrzu, na łonie przyrody”.

Pastor był dobrym towarzyszem. Dość milczący, ale zawsze równy, samym już szerokim i pogodnym obliczem wnosił do towarzystwa pogodę. Tylko olbrzymie czoło, ciężące nad małymi jasnymi oczyma w okularach i wprost rozmiażdżające twarz, miało w sobie wyraz jakiejś grozy i budziło respekt. Ale lęk ten ulatniał się, kiedy tylko pastor Hubina żartobliwą swoją szykaną albo dobrowolnym słowem stwierdzał, że jest jednym z powszednich ludzi. Pastor Hubina nie mógł mieć nieżyczliwych, a miał wielu przyjaciół czy przynajmniej zwolenników. Kazania jego sławne były na cały ten mały kraik, jego ojczyznę; bywali na nich nawet katolicy (których również w tej okolicy nie brakło). I jakkolwiek może się to wydać nieprawdopodobne, to jednak faktem jest, którego nie mogę ukryć, choćbym nawet pragnął, że z proboszczem katolickim w Przygórzu wiązała pastora Hubinę przyjaźń bliższa niż z kimkolwiek innym, może jedyna prawdziwa przyjaźń.

Nieraz można było widzieć obu panów, w czarnych surdutach po kolana, jak z kijem w ręku, z plecakami wędrowali przez ulice miasteczka i znikali w lasach górzystych, co się piętrzyły nad doliną bystrej rzeki Tryślicy. („Piętrzyły” – powiadam, bo dziś już lasów tam nie ma, są gołe pustki...).. Myliłby się ten, kto by – widząc tak wędrujących razem obu duszpasterzy – przepuszczał, że jedynie dla przyjemności wędrowali. Jedynie dla przyjemności wędrowali. Ludność góralska obu parafii – przemieszana na leśnych polanach, gdzie się tuliły ustronne dalekie osiedla – znała tajemnice

owych księzowskich i pastorskich plecaków,
obszernych i pękających...

Pewnego dnia (mianowicie w przeddzień owego polowania w Trysłach) nad wieczorem ksiądz Wątorski i pastor Hubina stali na górze Bukowiec, która była jakby potężną basztą wznosząca się w samym centrum okolicy Przygórza i spoglądali w milczeniu na sfalowane horyzonty miękkich i błękitnych gór, na stoki zarosły nie bukami – jakby należało ze względu na nazwę góry spodziewać – ale jodłami czarnozielonymi, pośród których jak żółte świece gorzały pierwsze więdnące modrzewie. Niedaleko widać było, nieco poniżej szczytu, osiedle Cichy Gronik, jego szare drewniane dachy, nad którymi wstawały i prostowały się łagodnie drzewne dymy odwieczera. Z dala bieleło się i czerwieniło miasto, a nad nim zadumały się dwie wieże kościelne. W pewnej chwili doleciało dalekie dzwonięcie; a potem cieńsze drugie. Dwaj czarni panowie stali w milczeniu z kapeluszami w ręku. Pastor Hubina odezwał się pierwszy:

– Jest czasami tak dobrze, że się aż boję... Trzeba przyznać, że się nam to miłosierdzie opłaca... Ludzie nas lubią, błogosławią, a w dodatku jeszcze mamy te nasze przechadzki...

– Oho, zawsze ta wasza protestancka, kantowska asceza – asceza przesądu, że to, co dobre, nie może być przyjemne, bo traci swą wartość.

– Mylicie się, księżo Józefie, co do mnie. Ja nie myślę tak. Bo sądzę, że trzeba raczej o samym dobru myśleć, w jego obiektywnym istnieniu, niż o tym, jak

my się z dobrem układamy. Otóż dobro powinno być doskonałe. A jako doskonałe nie powinno się mieszać i łączyć z niczym złym. Dlatego pełnienie dobra powinno być zarazem przyjemne. Dobro winno tak napełnić duszę człowieka dobrego, aby nie było w niej nic przykrego, bo nieprzyjemność – co tu gadać – jest złem. Z dobra tylko dobro powinno wynikać. Nie jako nagroda, ale jako – żeby tak powiedzieć – naturalna konkluzja. Dlatego nie idzie mi o to, że my przy tym naszym miłosierdziu mamy trochę tej przyjemności, tego czystego sumienia tych krajobrazów... Ale boję się czasami... Bądź co bądź wszystko to stoi na przypadku...

– Jakim?

– Na tym, że nie jest inaczej. Jesteśmy obaj harmonijni, łagodni, przyzwoici, pobożni; mamy nadzieję, że całe nasze życie spłynie jak rzeka do spokojnego morza... Żyjemy bezpiecznie i chwalimy Pana Boga. Ale czyśmy zdali egzamin?... Sądy Boskie podkradają się jak złodziej, włamują jak włamywacz przez okna, przez drzwi...

– Jesteśmy gotowi na wszystko.

– Na wszystko?!... Na wbijanie drzazg pod paznokcie? A na próbę raków?...

– Jak fizycznie bierzecie to wszystko...

– Księżo Józefie, nie łudźmy się, żyjemy w uporządkowanym społeczeństwie, dlatego pozwalamy sobie gardzić torturą. Bo tortura wydaje się nam czymś, co po prostu nie istnieje naprawdę. Ale tortura jest wszędzie, katusza skrada się zewsząd... I dopiero kto

taki egzamin złożył, może sobie pochlebiać, że zasłużył na zbawienie... Inaczej korzysta z przypadku.

– Więc czegoż chcecie? Barbarzyństwa, udręki, męczeni ludzi?

– Och nie, nie; ale bądź co bądź to jest dosyć niepokojące pytanie, dlaczego przeszłość – a nie my, dlaczego tamten – a nie ja?...

– Błogosławmy piękno Boże! Popatrzcie na ten świat, spójrzcie jak łagodnie...

– Dopóki kogut nie zapieje. Wszystko dobrze jest, dopóki kogut nie zapieje...

Tymczasem wieczór zapadł. Pastor i ksiądz zeszli na dół pod kościołem pożegnali się w serdecznym milczeniu, pastor podążył jeszcze kilkaset kroków. Gdy wchodził na obszerne podwórze plebanii, na pierwszym piętrze domu świeciło się, a przez otwarte okno przelewała się melodia na fortepianie i mocny, czysty śpiew kobiety:

*Ich weiss nicht, was soll es bedeuten,
Dass ich so traurig bin!...
Ein Lied aus uralten Zeiten,
Das kommt mir nicht aus dem Sinn...*

Pieśń szczęśliwych dni... Przy tej pieśni pastor Hubina zakochał się w Hedyce, córce pastora, u którego był wikarym. Ona grała na fortepianie, on na skrzypcach; ona śpiewała głębokim altem, on tenorem. Potem pobrali się i w podróży poślubnej zwiedzili kraje niemieckie – Tyrol, Szwajcarię, Turyngię, Ren –

właściwą i wytęsknioną ojczyznę Hedyty (bo była Niemką), gdzie są zaciszne muzykalne miasta, nagie i groźne zamki na wysokich łysych górach. W jakiś czas potem pastor Hubina osiedlił się w Przygórzu – dziedzicznej nieomal siedzibie „dynastii” pastorskiej, której był synem, wnukiem i prawnukiem. Małżeństwo Hubiny było szczęśliwe, pobłogosławione dziećmi. Najstarsza, Irma, była już słuchaczką uniwersytetu, obecnie bawiła u rodziców na wakacjach; Olga, podłotek, była muzykalną dziewczyną, rodzice namyślali się, jak by to urządzić jej studia muzyczne, co na głębokiej prowincji nie było łatwe; Bogdanek był uczniem II klasy szkoły ludowej, jak się wtedy mówiło.

Pastor wszedł do saloniku, podszedł do ściany, zdjął skrzypce i włączył się w melodię żony. Grali tak chwilę, uśmiechając się do siebie. Po czym pastorowa wstała i, podszedłszy do niego, opierając mu rękę na ramieniu, rzekła:

– Minna znowu pisała i pyta czy w zimie przyjadę. Czeka na odpowiedź, bo gdybym nie przyjechała – urządzą się inaczej, wyruszą na południe. Chce wiedzieć na czas.

– A może nie będziesz mogła jechać na ten karnawał? – spojrzał jej z uśmiechem w oczy.

– Nic nie wiadomo... – odpowiedziała, uśmiechem powiek nakrywając oczy milczące.

– Loreley znowu tajemnicza... – zażartował, jak zwykł był czynić.

To była jedyna chmurka na ich niebie – cokolwiek jednostajnym, ale pogodnym: projektowany wyjazd

Hedyty do bogatych kuzynów w Niemczech, to z trudem przez nią ukrywane, gorące jej pragnienie wyjazdu...

Od dnia, kiedy złocistowłosa Hedyt, smukła i gibka, opuściła swój dom ojcowski w Czeskich Górach i z małżonkiem, starszym od niej o kilka lat, odjechała do jego dalekiej ojczyzny, życie obojga płynęło szczęśliwie. Hedyt znalazła tu świat i otoczenie podobne do ojczystego. Takie samo miasteczko zaciszne i schludne, ludność poważną i pobożną, góry lesiste, stary murowany piętrowy dom o łamanym dachu, winem obrosły, wielkie lipy na dziedzińcu kościelnym, bogaty sad, strzyżoną murawę na podwórzu, szklane kolorowe kule na murawie, w domu pokoje przestronne, na każdym kroku ślady życia kilku pokoleń, które lubiły książki, muzykę, kwiaty, obrazki, wygodę. (Jak wiemy już, pastor Hubina objął parafię po ojcu).

Swoją drogą, ta ostatnia okoliczność może nieco ujemnie wpłynęła na poczucie młodej pastorowej. Mąż, wprowadzając ją w dom rodziców (i dziadków), wyraził nadzieję, że ona „podtrzyma tradycję” swych tu poprzedniczek, jego matki i babki, które „były matkami całej gminy”. Hedyt prawdopodobnie chciała stać się taką „matką”, ale naprzód musiało minąć kilka lat, nim się nauczyła trudnej mowy ludzi tego kraju, a potem – gdy się do nich zbliżyła – na każdym kroku spotykała się z naiwną chłopską chwalbą starej pani pastorowej, która „była jak nasza matka własna, rodzona” i z którą – w świetle tych relacji – nikt nie mógłby się ani wtedy,

ani nigdy porównać. Gdy zaś Hedyt nie miała ochoty nikogo naśladować czując, że jedynie najdokładniejsze, krok w krok wzorowanie się na starej pani zdołałoby ją – i to z trudnością – w oczach ludzkich zbliżyć ku jej idealnej poprzedniczce, wycofała się ze stosunków z parafianami męża. Pastor Hubina spostrzegło z przykrością i z początku niejednym raz namawiał żonę do rozmów z ludźmi, do odwiedzania ich, pielęgnowania w chorobie, powoływał się na wdzięczność, jakiej od ludzi doświadczały jego matka i babka; ale gdy raz, na takie perswazje, Hedyt wybuchła – wbrew swemu milczącemu usposobieniu, rozdrażnieniem nagłym i ostrym, że chyba tylko „nieszczęsny los” sprowadził ją do tego kraju i tego domu – pastor Hubina odszedł zdumiony i zatroskany. Od tego czasu Hedyt miała święty spokój z tym „macierzyństwem”. Była zresztą litościwa i nikt biedny nie odszedł z plebanii bez jałmużny. Pastor powiedział sobie, że ma żonę dobrą i czułą, tylko jej „trochę arystokratyczna natura nie znosi systematyczności”. W tym przekonaniu o żonie – które mu niezbędnie potrzebne było, aby ją móc całować bez uczucia, że jest chmurką między nimi – utwierdził go pewien jej czyn. Bo był to prawdziwy czyn.

Rzeczka Tryślica wzbiera niekiedy dość nagle i niespodziewanie. Z potoku, przez który dzieci brodzą, w ciągu kilkunastu minut tworzy się rzeka potężna, głęboka i rozszalała. Ludność, a zwłaszcza wszystkie dzieci miasteczka, pędzą wtedy nad jej straszne wody. A wody mętne i spienione śpieszą się niecierpliwie, kłębią brutalnie, uciekają panicznie, ścigają się

przerażone jak tłum strachem gnany, bezoki,
bezrozumny... Stali wszyscy na brzegu; między nimi
młoda, smukła pastorowa. Wtem usłyszano pisk
dzieciaka – jak przydeptanej myszy – a zanim
ochłonięto, już widać było pośród szarych bałwanów
błękitną suknię pastorowej i widać było, jak po ramiona
w wodzie, czepiając się jedną ręką krzaków wikliny,
aby się nie dać wodzie ponieść, drugą – ciągnie za
włosy ledwo wyłaniającą się z wody głowę dziecka...
Tymczasem rzeka huczała coraz głośniej, teraz już jak
młyn olbrzymi. Znaleźli się mężczyźni, którzy
wskoczyli do toni, uratowali pastorową i dziewczynkę,
małą Kaduloczkę. Pastora Hubiny na brzegu nie było.
Ale pamiętał to zdarzenie, tak jak gdyby był widział je
na oczy: blada, wysilona twarz Hedyty, oczy
przymknięte, spod powiek długorzęsnych wypływa
spojrzenie uparte a przerażone, włosy zmokłe, ręce
dźwigają dziecko jak ciężko naręcz owoców, a dookoła
woda wściekła i brudna, woda bezmyślna i przeklęta!...
Woda głęboka, na myśl o której cierpiał od serca po
stopy. Obmierzłe jej zimno przepływało mu przez żyły.
Ta odwaga pastorowej zyskała jej wiele przychylności
ludzkiej – i to nie tylko od mężowskich parafian, lecz i
ze strony ludności katolickiej, bo mała Kaduloczka była
katoliczką. A pastor Hubina? Miał w tej swej wizji pod
powiekami ukochany – aż do łez ukochany – „aspekt”
żony, który przywoływał każdej chwili, kiedy jakaś
chmurka przesuwiała się po ich niebie. Zresztą to były
drobnostki, o których nie warto było pamiętać. Na
przykład: pastor Hubina brał żonę na spacer po lasach

okolicznych, szli na Bukowiec, schodzili na Cichy Gronik i tam pili „kiszkę” (czyli mleko kiszzone). Wracali uciszeni, o tej porze dnia nad wieczorem, kiedy wszystko, co jest – domy i drzewa, lasy i wsie, ludzie i zwierzęta, niebo i ziemia zdają się być pełne jakiejś uśmiechniętej obecności... Czyjej?... Chyba anielskiej... Wtedy nedorzecznoscia wydaje się myśl, że mogłoby cośkolwiek źle skończyć. Ale te przechadzki skończyły się rychło. Bo raz, kiedy siedzieli na pniu wywróconym, spod pantofelka Hedyty wypęzła zmija. Biedna młoda matka (nosiła wtedy pierwsze dziecko) przeraziła się okropnie. To nic, że pastor Hubina na oczekaniu pociął laską węża na kawałki. Spośród tych kawałków jeszcze długo podnosiła się na prostej pionowej szyi głowa umęczona, ze straszną nienawiścią w oczach; głowa ta syczała i groziła swym mordercom. Pastor odprowadził śpiesznie żonę, ale Hedyt, gdy już odeszli dobrych kilkaset kroków, zawołała: „Wiesz, nie mogę myśleć, że ona tam się tak męczy... Wróc i dobij ją”. Wrócił. Nieszczęsny stwór jeszcze syczał, jeszcze groził, jeszcze się męczył, jeszcze nienawidził. Pastor poszukał kamienia, znalazł tęgą bryłę wapienia obrosłą mchem puszystym, wilgotnym, szmaragdowym i cisnął nią w dumną głowę nieugiętego gada. Teraz dopiero, gdy podniósł kamień, ujrzął nieprzyzwoitą i bezwstydną miazgę. Wrócił i powiedział: „już”. Odsunęła się odeń nie bez milczącej odrazy. Zapomnieli o tym incydencie za chwilę, ale od tego czasu Hedyt nie dała się namówić na spacer. Lata mijały, a ona nie przekroczyła krańców

brukowanej i ucywilizowanej części miasteczka. I tu perswazje pastora Hubiny napotkały na opór, dziwny przez jakąś niepojętą niechęć, jakby do całego krajobrazu: „Przeklęte lasy, zmijowaty kraj”... Pastor Hubina usiłował dowieść, że w Czeskich Górach też żyją żmije i że tu żmij jest niewiele, ale te dowody pozostały bez skutku. Z czasem pogodził się z faktem, iż już chyba nigdy z żoną nie będzie szedł o porze nadwieczornej przez drogi leśne pachnące żywicą i zielenią, które cały dzień czekały na to, aby o godzinie czerwonego słońca podnieść się ku niebu milczącym śpiewem woni. Tego już nigdy nie będzie – ale pastor Hubina powiedział sobie, że za to ma tę radość, iż żona go w domu wita, że kilkugodzinne rozstanie się tym miłszym czyni powitanie żonine i „podnosi cenę” jej od kilku godzin nie widzianego uśmiechu. Więc ostatecznie ta „kwestia zmijowata” minęła jak drobnostka. Rozwiała się jak chmurka na pogodnym niebie. Wprawdzie nie chodzili razem, ale jak miło wracając do domu usłyszeć było przez okno otwarte starą pieśń:

Ich weiss nicht, was soll es bedeuten,
Dass ich so traurig bin...

Pastorowie zeszli na dół do jadalni, gdzie już dzieci czekały, a młoda ładna Hanka – w doskonałym humorze – w oczekiwaniu jutrzejszego pogrzebu babki Jamrózki, który to pogrzeb miał być pierwszorzędną uroczystością, zwawo podawała potrawy przyrządzone

przez starą, trochę przygłuchą Dominikę. Olga i Bogdanek przekomarzali się. Irma była zamyślona. Także rodzice zamyślili się. Sprawa wyjazdu Hedyty, niepotrzebnych jej zaprosin do stolicy sąsiedniego mocarstwa na zimę, była znowu taką chmurką na ich niebie. Hedyta nie nalegała na wyjazd. Ale pastor Hubina znał już usposobienie żony tak dobrze, iż wiedział, że pod jej pozorną obojętnością trwa postanowienie silne i trwałe. Właściwie i on nie miał powodu upierać się przeciw jej wyjazdowi. Żonie ufał. Ani na chwilę nie przychodziło mu do głowy, że tych parę tygodni pobytu u ciotecznej siostry, żony dyrektora koncernu, mogło... Takich myśli zgoła nie dopuszczał... Ale miał w sobie jakiś (nie bardzo zdrowy) konserwatyzm: wszystko miało być stale na swoim miejscu, ludzie i rzeczy. Może nawet nie uświadamiał sobie powodu swej niechęci do jakichkolwiek, choćby najmniejszych zmian w ustalonym trybie dni i lat?... Tak jakby spoza każdej zmiany zwykłego porządku miały wypruć się jakieś zdarzenia dziwne i niebezpieczne, tak jak zza ruszonego sprzętu przy ścianie wyłażą – mrowiąc się, światłem nagłym przerażone – karakony, stonogi, wije... Toteż i teraz między milczącymi rodzicami trwało niewidzialne zmaganie się o przyzwolenie na ten wyjazd. Zresztą – jak już nieraz – pastor byłby uległ, Hedyta parokrotnie wyjeżdżała do bogatej i światowej Minny. Po jej powrotach, gdy przychodziły godziny ich długo wyczekiwanej samotności, zbyt czuła wtedy bywała, aby pastor Hubina mógł być mieć jakiegokolwiek

wątpliwości. Toteż i tym razem pastor Hubina upierał się, wiedząc, że ustąpi. Ale tym razem liczył na coś innego: że mianowicie Hedyt w zimie już nie będzie mogła z pewnego powodu jechać do domu rozbawionego i tańczącego. Nie był zresztą pewny swej nadziei, nie wiedział czy opiera ją na obliczeniach niewątpliwych, ale ta możliwość nadawała jego upartemu zamyśleniu pewną pogodę. Hedyta była zamyślona swym zwykłym zamyśleniem, nieco tajemniczym. Dzieci, mąż i służba – wszyscy już przyzwyczajeni byli do tej białej, milczącej twarzy, którą wielbili za jej dumę, za jej rzadkie, ale wtedy już słodkie uśmiechy zielonych oczu, dojrzałych i powolnych.

Wieczерzę przerwało zaproszenie od leśniczego z Tryseł na jutrzejsze polowanie. Wszyscy się ożywili, pastor Hubina – że pojedzie, pastorowa – że trzeba mężowi torbę wypakować smakołykami, dzieci młodsze i Hanka – że się coś dzieje. Tylko Irma stała i namyślała się. Po chwili podeszła do ojca z prośbą, aby i jej pozwolił jechać ze sobą. Zgodził się niechętnie. Prawdę rzekłszy, tam była nie jedna, ale dwie chmurki w tych dniach. Z tą Irmą to była ta druga chmurka. Ale, ostatecznie, nic poważnego nie działo się tam, nic „tragicznego”, więc dlaczegożby nie miała do Tryseł z nim pojechać, jak już bywało nieraz? Sprawa dość banalna: leśniczy z Tryseł miał syna, który był starszym kolegą Irmy. Teraz ukończył studia, miał iść na posadę i za parę dni odjechać. Za kilka dni i Irma miała wracać do miasta. Zdaje się, że byli sobą zajęci. Ale do żadnych

oświadczyn nie doszło i prawdopodobnie do niczego w ogóle, poza sympatią i flirtem. Pastor Hubina był zadowolony z odjazdu tego młodzieńca; to był katolik, a pastor – jakkolwiek czuł, że gdyby jego dziecko „na śmierć zakochało się” w innowiercy, to byłby w końcu ustąpił i udzielił przyzwolenia na małżeństwo – to jednak za szczęśliwą uważał okoliczność, że ten chłopak odjeżdżał zanim doszło do jakichś gorętszych uczuć między nim a jego córką. Dziewczyna była jak matka, zamknięta w sobie, lubiąca milczeć. Nie bardzo wiadomo było, co się kryje za tym czołem gładkim i równym, pod czarną zwichrzoną czupryną. Ale... ale nie było też powodów do tego, aby się martwić i przypuszczać, że córka przeżywa coś bolesnego. Teraz ten akcent usilnej prośby, z jakim zapytała ojca, czy może z nim jechać, zastanowił go nieco. Odmówił. Irma ponowiła prośbę, już dosyć porywczo; była porywcza z natury, od małego dziecka – porywcza i uparta. Ale była to dobra dziewczyna. Ją ojciec kochał najgoręcej. Jakieś piękne szaleństwo gorzało w niej, smukłej jak matka, ale żywszej niż Hedyt, odważnej, tanecznej, skocznej. Pastor Hubina nie lubił być dla swych dzieci i żony uosobieniem sprzeciwu i zakazu; więc i teraz łatwo udało się Irmie uprosić ojca i stanęło na tym, że pojedą pociągiem o godzinie 10.15. Przedtem jednak pastor prosił dziewczęta, aby wzięły udział w pogrzebie starej Jamrózki; cała gmina na nim będzie, więc wypada, ażeby i rodzina pastorska... Pastorowa z zasady na pogrzeby nie uczęszczała. Irma zaniepokoiła się, że nie będzie miała czasu przebrać się w porę, że gotowi

spóźnić się na pociąg, ale ojciec ją uspokoił: „Jak się pośpieszymy, to będziemy gotowi; przecież i ja się przebieram, nie wątpię, że się nie spóźnię”. Wszyscy rozeszli się ożywieni. Pastorowi zdało się, że w tym dniu żadnych chmur nie było.

Pastor Hubina już dawno poza sobą miał owe lata młodości niecierplivej i poważnej, kiedy się gryzie i tłucze wszystkie twarde orzechy, aby znać ich rdzeń, kiedy się analizuje i rozważa każde zajście między ludźmi, aby poznać jego tajny sens, każde słowo, każdy gest, uśmiech, spojrzenie, głosy ludzi i ich zamilknięcia. Wtedy wszystko ma znaczyć coś” coś ważniejszego, „Istotniejszego”, „głębszego” i „prawdziwszego” niż to, co to wszystko „znaczy z pozoru”. Tak jakby się wszystko wiązało ze wszystkim, a to wszystko razem z czymś innym znów, co nie jest znane, ale co dopiero „jest naprawdę”. Pastor Hubina przebrnął szczęśliwie przez te czasy zamyślanej gorzko młodości – i dziś już wiedział, że życie to jest coś, co nie jest jednością; że nie trzeba przejmować się byle nieporozumieniem, byle tajemnicą wyzierającą z oczu i twarzy nawet najbliższych, nie trzeba, bo wiele rzeczy po prostu nie znaczą – i to jest wielka pociecha. Dział przypadku jest o wiele szerszy niż to sobie młodość wyobraża, dział przyczynowości i sensu o wiele węższy. Ileż słów jest słowami na wiatr – i dobrze, że tak jest... Ileż spojrzeń, niby znaczących, bywa tylko efektem optycznym, wynikiem złego oświetlenia albo rezultatem nastroju, wynikiem złego humoru obserwatora... Ileż zdarzeń, po których – zdawałoby się – już nie ma

powrotu, pierzchło na drugi dzień, gdy nowe słońce zaświeciło... Ileż przeczuć okazało się nicestwem, ile snów strasznych marą?... Ileż impasów – dykteryjką?... Co prawda, to i „wartości” były zagrożone tym bezsensiem zdarzeń... Ale pastor Hubina sądził, że na bezsensie tym lepiej – a nie gorzej, w ogólnym rachunku – wychodziło to, co dobre: bo choć i dobre mijało, choć i dobre okazywało się niekiedy płytkim efektem świetlnym albo efektem humoru, efektem złudnym – to jednak znacznie częściej zło tak się rozpraszało w nicość... Co mówię? Dobro nigdy nie minie, nie rozwieje się, nie zawiedzie! Bo jest tylko jedna pewna i naprawdę dobra: dobra wola. A dobra wola nie obróci się w złą, bo by nie była dobra. Pastor Hubina nie wiedział, ile jest tu na tej ziemi dobrego – ale wiedział, że dobra wola jest. Kto raz dojrzał ją u drugiego człowieka, ten może się jeszcze na nim sto razy zawieść. Ale to nie będą prawdziwe zawody; będą to majaki rozwiane – lecz nie będzie rozwiane to, co nie jest majakiem: dobra wola. Wszystko może zwietrzeć, ale sól nie zwietrzeje... Taka była zasada odwagi.

Wszystko było w porządku; dopiero gdy przechodził do swej własnej odwagi życiowej, ogarniał go pewien niepokój: czy tu, na tym miejscu, jest dobra wola? O sobie wiedział, że tak. Przeszukał siebie na wskroś, nie chwycił w swym sumieniu nic tajnego i śliskiego. Wszakże cóż wiedzieć można o drugich?... Tę jednak myśl deptał od razu jako podłą; lub po prostu – jako myśl niezdrową, zgryźliwą i niesprawiedliwą. Były chmurki na tym niebie, ale czyż była jakaś zła wola?

Nikczemny, niesprawiedliwy, niezdrowy człowieku! – strofował siebie – i wystarczyło mu wyjść na górę, gdzie żona snuła ciche i łagodne istnienie; wystarczyło odetchnąć rzeczywistością, pod powieką przywołać obraz szlachetny, obraz heroiczny; wystarczyło wspomnieć o tylu oznakach litości dla ludzi i zwierząt, aby pojąć całą niedorzeczność tych nagłych niepokojów i uczuć się znów jednym z obdarowanych przez los. Cóż z tego, że czasem zdaje mu się, iż mu się dusza żony wymyka? Kiedy jest tam dobra wola, a ta nie wymknie się... Jest dobrze – czasem tak dobrze że aż strach... Skąd te dary losu, ten przywilej szczególny?... Ale od czegoż dobra wola? Pastor Hubina – w tajemnicy przed samym sobą – wierzył, że dobra wola jest tarczą i talizmanem... Owszem, miał takie chwile zadumy, że obnażał i odsłaniał cały fundament swego pokoju – i pytał się wtedy, jakim prawem wierzy w to, iż dobra wola ma oddalać, trzymać na uwieży i odganiać losy, przypadki i straszne tajemnice? Dobra wola ma być czymś pożytecznym, magicznie pożytecznym? Nie masz sama w sobie mieć jedynej nagrody?... Tak, ale dlaczegóżby dobro nie mogło – poniekąd ubocznie – produkować nowego dobra? Promieniować jakąś żywą siłą ochronną? Dobra wola niebiosa przebija. Nie miałażby stamtąd ściągać rzeczywistej mocy?... Dobra wola piorunochronem – tak wierzył, lecz to była wiara ostatnia, wstydliva, i wiara wbrew doświadczeniu obserwatora życia i wbrew nauce Pisma, gdzie były karty o zakładzie, jaki pewnego razu stanął między Bogiem a szatanem o duszę sprawiedliwego; i była to

wiara, acz ostatnia i najwstydlawsza, to jednak wbrew czemuś, co było jeszcze wstydlawsze i jeszcze bliższe, wbrew temu strachowi, niskiemu, ordynarnemu strachowi przed jakąś wulgarną, fizyczną męką – dla siebie, dla żony, dla dzieci... Tylko przed ks.

Wątorskim niekiedy przyznawał się do tych myśli i uczuć. Byłoby to jednak przesadą ze strony autora opowiadania, ten skryty lęk podkreślać zbyt czarno i grubo. Pastor Hubina był człowiekiem zdrowym, pracował dużo, dużo przebywał na powietrzu, dużo z ludźmi przestawał, miał zbyt ciche i łagodne życie w domu, poza domem zbyt wiele ludzkiej życzliwości lub nawet przyjaźni, aby te niezdrowe obawy mogły być w jego życiu i umyśle czymś ważnym. Kto nie wierzy w nieszczęście, ten ufa, że niewiara w nieszczęście odbiera nieszczęściu możliwość zrealizowania się. Pastor Hubina nie wierzył w nieszczęście. Kochał ludzi, a co najmniej ich lubił. Widział, że po ludziach „chodzą nieszczęścia”, jako duszpasterz wiedział o tym lepiej niż wielu innych. Ale osobista jego nadzieja szybowiała wysoko ponad losami i ponad szatanami grającymi z Panem Bogiem „w zielone” o dusze sprawiedliwych... Byleby tylko mieć dobrą wolę: ubrać się w dobrą wolę jak w czapkę niewidkę i zniknąć z oczu siłom diabelskim!

Decyzje na dzień jutrzejszy zostały wydane, rodzice ucałowali dzieci, wszyscy rozeszli się po swych sypialniach. Pastor Hubina udał się jeszcze do kancelarii, która mu i za pokój do pracy służyła. Przygotował broń i ładunki, obmyślił przemowę na

jutrzejszy pogrzebek starej Jamrózki, a potem zasiadł na godzinę do swej zwykłej pracy wieczornej.

Przygotowywał dzieło pod tytułem: „Dzieje uczuć religijnych w Polsce”. O godzinie dwunastej odmówił pacierze wieczorne i udał się na spoczynek.

Przeszedł na palcach mroczne pokoje, gdzie jego mili oddychali równymi oddechami. Sam nie wiedział, kiedy zasnął. Nikt nie słyszał głosu, który się rozległ po całym ich systemie życiowym: „Proszę państwa, dzisiaj c z w a r t e k!” Północ minęła i był już 22 września 1912 r.

II

Rankiem tego dnia, kiedy zegar kościelny wybijał godzinę 9,45 min., działy się równocześnie następujące sprawy:

P o p i e r w s z e: Pastor Hubina ukończywszy obrzędy pogrzebowe i wymówiwszy się od udziału w stypie spiesznym krokiem wchodzi do kancelarii. W następnych minutach rozbiera się z togi, wchodzi do sąsiadującej izdebki i przebiera się w strój myśliwski. Przebierał się szybko, tak że o godzinie 9,54 min. był już gotów do śniadania z Irmą, która się również przebierała do wycieczki. Pastor właśnie wychodził z kluczem w ręku z kancelarii, gdy wszedł stary Zajac, pokłonił się „panu farorzowi” i zaczął go prosić, aby wyszedł na dwór oglądnać jego byczka, którego prowadził na targ do pobliskiego Uciszyna. Pastor wyszedł, spojrzął na byczka uwiązanego do sztachet,

pochwalił go, że go można dobrze sprzedać, wrócił do sieni, aby kancelaryjne drzwi zamknąć na klucz. Ale nudny staruch nie tak łatwo dał się odprawić. Już od wielu miesięcy wszystkim głowy zawracał tym byczkiem: „Oho ho, mój byczek nie lada jaki, eh, szkoda godać, dają mi za niego sto złotych, ale na targu chyba mi dadzą więcej, bo to nie lada jaki byczek, hohoho, szkoda godać. Pan farorz będą łaskawi powiedzieć mi, ile wziąć za tego byczka, bo to taki byczek, no, pan farorz wiedzą, eh, szkoda godać... Panie farorz, ja do was jak do ojca, nie mi powiedzą o tym byczku, jak do ojca, no szkoda godać...”

Pastor Hubina odpędzał nudziarza dość niecierpliwie, ale swoim obyczajem, łagodnie.

– Mój Zającu, przyjdźcie jutro, teraz się śpieszę, za dwadzieścia minut pociąg odchodzi, jadę do Tryseł, nie mam czasu na rozmowę, przyjdźcie jutro.

– Eh, szkoda godać, dyć dzisioj czwartek, jarmark w Uciszyne, dzisioj czwartek, a jutro piątek, jo go dzisioj chce sprzedać. Dawali mi za niego sto złotych, ale to taki byczek, co szkoda godać...

Tymczasem minuty mijały, Zając gadał i kręcił w kółko. Pastor Hubina z zegarkiem w ręku obliczał: już jest za minutę dziesiąta, już nie będziemy jedli śniadania, ale pociąg odchodzi za 16 minut, do kolei dobry kwadrans, spóźnimy się, jak nudziarza nie odprawię w tej samej chwili.

– Mój Zającu...

Tymczasem biła dziesiąta. Ale stary głupiec ani myślał zegnać się... Pastora ogarnęła ta nagła

absurdalna i brutalna myśl, jaka przychodzi w obcowaniu z nudziarzami tym właśnie, którzy „nie mają serca”, aby się z natrętami krótko załatwić – żeby dać Zającowi w papę i „przejsć po jego trupie”... Kiedy się do tej swojej myśli uśmiechnął z naganą i kiedy już stanowczy podnosił głos: „Mój kochany Zającu”... wtedy usłyszał po kuchennej stronie domu jakiś nagły zgiełk, krzyk, tupot i zaraz gwałtownie otwarły się drzwi kuchenne, i wypadła z nich stara Dominika ze strasznym wrzaskiem.

* * *

P o d r u g i e: W tej chwili, kiedy pastor Hubina – ukończywszy obrzędy żałobne – wszedł do swej kancelarii, aby się przebrać z togi w ubranie do polowania, przekupień zabawek – Kasperlik – był o kilkadziesiąt kroków od sklepu Kaduloków. Kasperlik nie miał zamiaru zatrzymywać się w Przygórzu, spieszył się na jarmark do Uciszyzna; chudy, wysoki, zgarbiony, w czapce z długim daszkiem nasuniętym na śniadą długonosą twarz i płonące oczy – szedł Kasperlik wielkimi krokami, nad nim fruwały czerwone i zielone baloniki, w rękę wił mu się wąż – fantastyczny, złoty jak szych, zielony jak ogień bengalski. W minutę później Kasperlik przechodził obok sklepu Kaduloków.

* * *

P o t r z e c i e: Ale naprzód objaśnienie historyczne. Kaduloczka sklep wzięła po rodzicach. Do sklepu przyżenił się podstarzały już, tusty i leniwy kupczyk, którego jedyną zaletą było, że miał pieniądze, które pozwoliły mały kramik przekształcić na duży sklep „uniwersalny”, gdzie wszystkiego – i galanterijnych towarów, i wiktuałów, i piwa, i wódki można było dostać. Lecz spadkobierca firmy „Kadulok”, a mąż Kaduloczki, był tak nic nie znaczącym małym tłuściochem – zawsze trochę pijanym – że nawet nie pamiętano jego nazwiska i Kaduloczka pozostała – jak dawniej przy rodzicach – „Kaduloczka”. Tego dnia Kaduloczka obudziła się dość późno (na pogrzebie starej Jamrózki nie była jako katoliczka); obudziwszy się, leżała jeszcze jakiś czas w ciepłym łóżku, wstała, odziewała się i stroiła powoli, po czym wyszła do sklepu i stanęła w drzwiach, wyjrząc na ulicę. Dzień był bardzo jasny; w nocy spadł deszcz, teraz było w powietrzu czysto i kryształowo: taki dzień wrześnieowy, kiedy jest nowa wiosna, ale wiosna cichsza łagodniejsza i dojrzała. W takie dni – wbrew ciszy w powietrzu – Kaduloczkę ogarniał niepokój i hardość, zniecierpliwienie na męża i zuchwały humor z mężczyznami. Stała chwilę w drzwiach i właśnie miała zamiar cofnąć się – stropiona i zła – w ciemną i chłodną głąb sklepu, gdy ujrzała Kasperlika, znaną sobie dość ciekawą figurę wędrownego kupca zabawek. Szedł wielkimi krokami, oczy schylone ku ziemi.

– Och, jakiego to gada macie! Ja bym się bała brać gada do ręki!... – usłyszał Kasperlik wesoły, niski głos niewieści.

Podniósł głowę. Stała przed nim w drzwiach sklepu kobieta lat około trzydziestu, duża, o tęgiej piersi, wspaniale śmiały się jej oczy, błękitne jak niebo dzisiejsze, w śnieżystym czepcu różowił się piękny owal gładkiej twarzy. Odwinięte powyżej łokcia rękawy odsłaniały biel obfitą i soczystą. Kasperlik nieraz już w przechodzie przez Przygórze widział Kaduloczkę; ale nigdy w takie okazałości; widocznie wspaniałe słońce tego poranka ubrało ją w cały swój blask jesiennej wiosny. Stary krzątał się ospale po sklepie. I on wybierał się na jarmark do Uciszyna, miał jechać koleją – pociągiem z Tryseł, który krzyżował się w Przygórzu z pociągiem w tamtą stronę, ku Trysłom. Kaduloczka zawołała w głąb sklepu: „Ruszaj się, stary, bo się spóźnisz!”.

– Na jarmark jedzie – wyjaśniła Kasperlika. – A wy na piechotę, czy koleją?... Śpieszy się wam? – spytała, a jej jasne oczy ściemniały i rozbłysły innym, głębszym blaskiem.

– Pójdę albo nie pójdę, pojedę albo nie pojedę! – zaśmiał się krzepko. Zaśmiali się oboje. Kaduloczka cofnęła się do sklepu.

– Napijcie się piwa.

Wszedł za nią powoli do ciemnego sklepu. Zdjął ciężko toból, nad którym fruwały czerwone i zielone baloniki, z którego wychylały się pajace, konie drewniane, małpki, niedźwiadki. Siadł w zacisznym

kącie, popijał powoli piwo, milczał, w rękę trzymał węża, którym bawił się od niechcienia. Kaduloczka żywo i niecierpliwie krzątała się po sklepie, upuszczając z rąk przedmioty, naganiała męża, żeby się nie spóźnił. Na zegarze nad ladą była godzina 9 min. 50, gdy do sklepu wbiegł chłopczyk; stanął zdumiony na widok węża, który wił się w rękach dziwnego obcego człowieka siedzącego w cieniu. Zląkł się i chciał wybiec ze sklepu; ale Kaduloczka odezwała się życzliwie:

– Nie bój się, Bogdanku, to z drzewa, nie ugryzie, może sobie kupisz?... Sprzedacie tanio węża? – podniosła głos wesoły do Kasperlika.

– Zależy komu!... – znowu się krzepko zaśmiał. – Uderzyli się śmiałymi oczami.

* * *

P o c z w a r t e: Irma nie spała całą noc. Sprawa z Jerzym była dziwnie zawikłana i mętna. Ostatnie wakacje, kiedy razem „herboryzowali” (i on był przyrodnikiem) były niezapomniane... Ale kiedy przyjechał złożyć pożegnalną wizytę, nie znalazł dla niej ciepłego spojrzenia poza konwencjonalnymi żarcikami ani tajnego uścisku dłoni. Ależ to ona, to ona była winna!... Ileż razy porywczą i nieopanowaną zazdrością raziła go i raniła!... Jednak i on... Kto był winien?... Co było prawdą?... Raz to wyjaśnić!... Móc jeszcze być razem i od gruntu, od początku, wszystko – bez urazy – zbadać i uzgodnić, i wszystko wyjaśnić!... Od tego – tak Irma czuła – zależy całe życie. Polowanie

w Tryślach było dziwnie szczęśliwą okolicznością. Jerzy miał wyjechać już w piątek rano: miał przejechać wczesnym pociągiem przez Przygórze, odjechać daleko – i może wrócić kiedyś obcym człowiekiem, śmiertelnie obcym?... Tymczasem jutro była jeszcze pora widzieć go, mówić z nim, być z nim razem w tych wysokich tryślańskich borach – i jeszcze zatrzymać wszystko, uchwycić mijający czas i przetrzymać na całe życie...

Pewnym niepokojem przejmował Irmę szczegół, że to szczęście – albo nieszczęście?... (któż wie?... Irma nie chciała wyobrazić sobie dokładnie, jak to będzie; chciała tylko mieć dobrą wolę, dobrą wolę spokoju, łagodności, zrozumienia, dobrą wolę błogosławioną, magiczną!...) – otóż o pewien niepokój to ją przyprawiało, że to miało być w czwartek. Irma była wyczulona, zajęta snami i przeczuciami, przesądna – i nie lubiła czwartku. A to z powodu pewnego snu, który nawiedził ją przed kilku laty. Opowiedziała go rodzicom. Matka – zawsze zamyślona – nie zwróciła uwagi. Ojciec uszczypnął ją w policzek: „Sen mara, Bóg wiara, moje dziecko, nie zaprzataj sobie głowy głupstwami”. Oczywiście, że sen mara, Bóg wiara – to święta prawda – ale ten sen był tak plastyczny, że trudno wymazać go było z pamięci. Śniło się jej, że była na wsi u babki w Czeskich Górach. W domu byli tylko ona, babka, matka i Bogdanek – wtedy jeszcze niemowlę. Widziała dom bardzo wyraźnie. Weranda, przed werandą ogród kwietny, za parkanem tor kolejowy, z drugiej strony toru – łąka i most na rzece, potem gościniec, góra i las. Stała na werandzie i

patrzyła na krajobraz. Wtem za mostem, na gościńcu, coś się zakłębiło jakby się nagle wzniosł wielki tuman kurzu. Znaleźli się także jacyś ludzie (ale to było bardziej głosy ludzkie niż sami ludzie), jakiś niepokój rozpostarł się w całej okolicy i w powietrzu wszystko poszarzało i ściemniło się, ona w panicznym strachu zbiegła z werandy do pokoju, w pokoju nie było nikogo, gdzieś tam matka i babka ukazały się zbladłe ze strachu i znikły znowu, ona zaczęła wołać, ale nie mogła głosu wydobyć: „Gdzie Bogdanek? Gdzie dziecko? Dziecko schowajcie!...” Wtedy w niskim oknie od ogrodu stanął jakiś nieznajomy człowiek i powiedział głośno, powolnie, dobitnie – głosem, który nigdy nie przebrzmiał w uszach: „Proszę państwa, dzisiaj czwartek”. Zbudziła się w zimnych potach i z biciem serca. Głos był tak żywy jakby dopiero co ktoś jej w same ucho dobitnie powiedział: „Proszę państwa...”. I twarz tego człowieka obcego pozostała jej niezapomniana: jakiś niski, wybladły blondyn, wymizerowany, o cerze zgniłkowatej – a podły, podły i zgniły do gruntu!... Ohydna twarz złodziejska, ohydna nie przez rysy straszliwe i diabelskie; owszem banalna, przeciętna, przeciętna i nic nie znacząca aż do nikczemności. Jakieś potworne, uosobione Z e r o. Była niesamowita groza tego snu, ale w tej niesamowitości i grozie nie było nic „romantycznego” (jak po paru latach, przy umyśle już dojrzałszym, Irma sobie uświadomiła) – lecz coś obrzydliwie nonsensownego i banalnego. „Potworna banalność” – te dwa słowa, które

zdają się nie przystawać do siebie, najlepiej wyrażały ten nastrój.

Od tego czasu Irma nie lubiła czwartków, notowała w pamięci drobne niepowodzenia czwartkowe, niechętnie w czwartki zaczynała coś lub wybierała się w drogę... Toteż i dziś do jej niespokojnej radości, że jada do Tryseł, mieszał się przesądny, drobny lęk i podniecał jej niecierpliwość i to, co się – dość trywialnym słowem – nazywa: „zdenerwowanie”. Lecz wreszcie wszystko jedno, czwartek czy nie czwartek, chwycić ten ostatni dzień, chwycić go, choćby miał parzyć jak ogień, pojechać i zobaczyć się z Jerzym – za wszelką cenę! Może to los szczęśliwy, może to Bóg sprawił, że akurat na dzisiaj przyszło to zaproszenie do Tryseł – i może czwartek będzie już odtąd dniem szczęścia? Sen mara, Bóg wiara... Och, dziś – jeśli nigdy potąd, to dziś będzie miała dobrą wolę, potrafi wszystko zrozumieć, wszystko przebaczyć, będzie kajać się, siebie zwycięży, własną podejrzliwość, własną porywczosć!...

Nie spała całą noc. Zerwała się rano, jeszcze cały dom spał. Po nocnej ulewie wspaniały wstawał dzień – chłodny, ale słoneczny i kryształowy. Ten pogrzeb starej Jamrózki wlaź tu jak Piłat w Credo. Gdyby nie to, już by jechali bryczką do Tryseł! A tak, gotowi spóźnić się na pociąg – i już nie pojedą, bo końmi przyjechaliby po polowaniu... Z bijącym z niecierpliwości sercem słuchała długich ceremonii pogrzebowych, przemowy ojca; a gdy już mogła się wymknąć, biegła do domu, szybko zrzucała z siebie – w pokoju na piętrze – swą najlepszą suknię „do miasta”

(ojciec zażądał, ażeby dziewczęta – przez pamięć i szacunek dla starej, zacnej Jamrózki – ubrały się „elegancko, bo i ludzie będą odświętnie odziani”), jeszcze coś tam majstrowała przed lustrem przy swej rozwichrzonej ciemnej czuprynie nad równym czołem, wdziewała kostium wycieczkowy – i tylko pozostawało zasnurować turystyczne żółte buciki. Wtem, prask! Pękła tasiemka. Przeklęty opór rzeczy martwych! „Jak się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy!” przypomniała sobie nieraz używane w tym wiejskim domu przysłowie ludowe. Chciała ją powiązać naprędce. Ale zniecierpliwione i drżące palce wikłały się i napinały zbyt gwałtownie, tasiemka darła: „Już się spóźnię, wszystko na nic, całe życie na nic, przez tę tasiemkę!” Irma podarła ją na drobne kawałki. „Nie pojedę! Wszystko jedno, sam diabeł mi przeszkadza!” Za chwilę biegła już na dół do kuchni.

– Gdzie Hanka? Niech mi biegnie do Kaduloczki po żółtą tasiemkę!”

– A juści, Hanka – zagderała stara Dominika – a juści, bez niej na stypie nie obejdzie się...

– Gdzie Olga?

– I panienska poszła na stypę...

(Olga chętnie żyła z ludźmi).

– Domciu, idź ty, proszę cię, bo się nie ubiorę na czas...

– Aha, Domciu, Domciu, urwanie głowy dzisiaj, pan jedzie, śniadanie podać, a tu pani chce się kąpać, kazała sobie gorącą wodę nalewać, wszystko Domcia;

Domcia nie ma czasu, niech panienka pośle Bogdanka, przebiegnie i zaraz będzie.

– Przecie Bogdanek w szkole...

– Ale, gdzie w szkole, panowie nauczyciele też poszli na stypę, powiadają, że po południu będzie nauka, Bogdanek gdzieś tu biega...

Irma wybiegła – jak była, w pończochach – na dwór; właśnie biło trzy na dziesiątą na wieży kościelnej; ojciec – w todze i birecie – nadchodził szybkim krokiem od strony cmentarza, zdziwił się, co tu Irma robi w pończochach, nie ubrana; pokazała szczątek żółtej tasiemki do buczków: „Rozdarła się i sama podarłam ze złości”; „Oj, ty złośnico, złośnico... ale spiesz się, ja się będę spieszył...” wszedł do sieni; Bogdanek nierychło się pojawił; gdyby nie to, że miała już zegarek na ręce, to by myślała, że upływają kwadranse; a to zaledwie dwie minuty minęły... W końcu nadbiegł. Otrzymał polecenie. Tymczasem okazało się, że Irma nie ma przy sobie portmonetki. Pobiegnęła na górę; drobnych nie miała; rzuciła mu przez okno guldena: „Biegnij galop i wracaj zaraz! Dostaniesz resztę z guldena” – dodała chęć go zachęcić do pośpiechu. Ale nie potrzebowała przekupywać. Chłopiec był usłużny i chętny. W ogóle dobre dziecko, wrażliwe, czułe. Był tylko trochę – jak mówiono w domu – „pan zapominalski” i trochę – ale nieszkodliwie – przekorny albo raczej nie tyle przekorny ile lubiący płatać figle nie zawsze przyjemne, których za chwilę sam szczerze żałował. Więc i teraz Irma bała się jakiegoś „nieszczęścia” – albo zapomni, co ma kupić, albo kupi przez figiel coś innego, albo...

Stała w oknie i wołała za chłopcem biegnącym co sił: „Pamiętaj, żółta tasiemka, wracaj zaraz, kup sobie coś dobrego” – jeszcze raz zachęcała go do pośpiechu i skrupulatności. Popatrzyła na zegarek. Była godzina 9,49 minut, kiedy Bogdanek w pełnym pędzie znikł za drzewami. Obliczyła: minuta albo dwie minuty będzie biegł do Kaduloczki, w sklepie zajmie mu kupno dwie, trzy, liczymy pięć minut, powrotem znowu dwie minuty, najdalej o 9 minut 58 będzie z powrotem; i będą musieli biec już na kolej; śniadania nie będą jedli – jeszcze zdążą; gdyby jednak w sklepie było dużo ludzi albo gdyby Bogdanek – swoim zwyczajem – zagapił się na co, albo z dziećmi jakimi zatrzymał się?!... To co? Nie pojedą! I całe życie ma zależeć od takiego głupiego przypadku? Absurd, nonsens, diabelstwo!...

Spacerowała niecierpliwie po pokoju, co chwila zaglądając na zegarek, licząc każdą minutę (a minuty płynęły powoli – jak rzeka kamienna), stając raz po raz w oknie i czekając na mającą się wychylić spoza lip podwórza kościelnego biegnącą sylwetkę dziecka. Ale widziała ją tylko w swej wyobraźni. Bogdanek wracający pędem nie urzeczywistniał się. Zamiast niego, wlaźł swym pętającym się, niezdarnym krokiem stary Zając prowadzący byczka na łańcuchu. Uwiązał zwierzę przy parkanie i wszedł do kancelarii. Przeraziła się na widok tego notorycznego nudziarza, gaduły i natręta. Jak zacznie z ojcem gadać, tak nie skończy nigdy i choć ja będę gotowa, ojciec się spóźni!... Serce jej omdlewało: chłód czuła w sobie, od którego zamarzała; obie dłonie położyła na lewej piersi i modliła

się. Skupiała w sobie całą dobrą wolę i oddawała ją Bogu, jak na tacy, razem z sercem, jakby przekupić chciała Boga, jakby Mu wmówić, że kto ma dobrą wolę, temu się jakaś litość należy... Zresztą, „nie moja, ale Twoja wola niech się stanie, Boże mój, Boże!...” Ale kiedy te słowa szeptała – och, jakimż ostatkiem nadziei rzucała się i szarpała ku Bogu, aby nie Jego, ale jej wola stała się... Już tylko ręce wyciągała w przestrzeń: „Boże, dobry Boże!...” Tymczasem nowe ognie niecierpliwości i gniewu wlewały się w nią. „Wszystko przekłete, ten pogrzeb akurat dzisiaj, ten ojciec chłopoman, który każe im łązić po chłopskich pogrzebach, ta idiotka Hanka, której nigdy nie ma, kiedy jej trzeba, ta ślamazarna obrzydliwa starucha Dominika, ta matka wiecznie obojętna, której akurat zachciało się jakieś kąpiele urządzać! To wszystko razem!... Ale spokój: wszystko będzie dobrze, Bogdanek będzie zaraz, przebiorę się i pojedę”. Ach, wpadło jej na myśl, czemuż nie zostać w czarnych pantoflach? Zdumiała się tak prostym rozwiązaniem kwestii! Kwestii całego życia. Nie bardzo to będzie gustownie, może też się pantofle zniszczą tam w lesie, ale to drobnostka. Ucieszona wynalazkiem, zabrała się do wdziwania z powrotem pantofli „miejskich”. Tymczasem na wieży zaczęła bić już dziesiąta. Zerwała się do okna już niepotrzebnie i machinalnie, może Bogdanek wraca? Tym razem w pustce podwórza kościelnego oczekiwany chłopiec zrealizował się: wbiegł pędem, ale dlaczegoż kieruje się nie do niej – na górę, ale ku drzwiom kuchennym? I co on takiego

trzyma w ręku?... Godzina dziesiąta przebrzmiała; uświadomiła sobie, że jeśli teraz, w tej ostatniej i jedynej sekundzie nie ruszą na kolej, to wszystko stracone. Konie od rana wyszły w pole. Kazać komu z sąsiedztwa zaprzęgać – to spóźnienie niechybne. Więc teraz, w tej samej sekundzie iść – albo nigdy... Podbiegła ku drzwiom, aby pędzić na dół, ostatkiem sił błagać ojca: „Chodźmy!” W tej chwili usłyszała z dołu jakiś zgiełk, krzyk, potem zaraz wrzask Dominiki. Zrozumiała, że się coś tam stało, jakieś nieszczęście; nie biegła już na dół, stanęła w drzwiach nasłuchując, przycisnęła ręce do przerażonego serca: zrozumiała, że dziś już do Tryseł nie pojedzie. Ani dziś, ani nigdy. Stało się. Ach, więc to tak?... Tak wygląda j u ż n i g d y?... – Potwornie j a s n o.

* * *

P o p i ą t e: Łazienka w domu pastora Hubiny była dość „swojska”; była to po prostu piekarnia z zakratowanym i przysłoniętym oknem, gdzie stała wanna; i która częściowo za spiżarnię służyła. Wejście od kuchni. Było tam ciemnawo, chłodno i zacisznie, po ścianach snuły się pająki, w zamkniętym oknie tłukły się i brzęczały osy i muchy. Tam lubiła pastorowa w kąpieli siedzieć długo i leniwie, zamyślona; była to jej – uśmiechała się – „świątynia dumania”.

Dzisiaj o godzinie trzy na dziesiątą z wielkiej wanny bucha gorąca i gęsta para; w wannie jest ukrop. Głupia, ta stara Dominika! Wszystko bierze dosłownie.

Gdy pastorowa obudziła się przed godziną, rozkazała Dominice: „Zaraz ma być kąpiel gorąca – ale gorąca, gorąca, żebym wylazła z wody czerwona jak rak”. Dominika – mruczając – zastosowała się do polecenia akuratnie. Woda ma być jak na raki. Tymczasem pastorowa czekała na męża i Irnę, by im podać śniadanie przez wyjazd i potem zaraz się wykąpać. Gdy przez okno zobaczyła starego Zająca – pojęła, że mąż nierychło zjawi się w jadalni. Nie namyślając się wiele, weszła do łazienki, rozebrała się, narzuciła płaszcz kąpielowy, usiadła na brzegu wanny; duma i czeka na wejście pożegnalne pastora i Irny, i na oziębienie wody przez Dominikę, która właśnie – gdy z dziedzińca kościelnego głucho dochodzi bicie godziny dziesiątej – wchodzi z konwią zimnej wody, by dolać do kipiącego wnętrza w wannie. Leje z góry ostrożnie, by pani nie opluskać kroplami wrzątku z wanny. „Jak nie wyjdą na kolej w tej chwili, spóźnią się” – mówi Hedyt do starej Dominiki.

* * *

Po ulewie nocnej wstał dzień wspaniały, kryształowy. Wczesnym rankiem zapowiadał się dość zimny. Ale gdy się słońce podniosło na niebie, dzień uczynił się całkiem letni, nawet upał się zapowiada. Ale na upał będzie ochłoda: jeszcze tyle wody lśni czarno w cieniach, do których słońce nie dotarło, jeszcze tyle rosy lśni naprawdę „jak brylanty” na drzewach. Dzień jest jak w lecie, tylko łagodniejszy, dojrzalszy, złocistszy i

cichszy. Stara, kędzierzawa wyżlica – Fryna – leży na szerokich kamiennych stopniach kancelarii, wygrzewa się nie przeczuwając rozkoszy łowieckich, które ją dziś czekają. U parkanu nudzi się uwiązany płowy byczek. Kilka wróbli trzepoce się w cienistej wodzie, przy wielkich drzewach na kościelnym dziedzińcu. Błogie są wrześnie przedpołudnia na prowincji. Cisza i pustka. W ciszy i pustce tylko blaszany kogut na kościele pieje, drze się w niebogłosy:

– „Ludzie, ludzie chrześcijańscy, czuwajcie! Sądy Boskie skradają się jak złodziej, czuwajcie!...”

O godzinie, która powinna być godziną dziesiątą, zegar kościelny odzywa się. Naprzód cztery uderzenie cichsze i wyższe. Potem dziesięć głośnych i głębokich. Biję powoli, nie śpieszy się bynajmniej, przed każdym uderzeniem zastanawia się chwilę czy jeszcze raz uderzyć. Decyduje się. Dopiero uderzenie czternaste jest już ostatnie, bezechowe. Ucho człowieka słucha jeszcze. Ale nie napotyka już nic – prócz pustki...

Biję dziesiątą, gdy na dziedziniec pędem wbiega dziecko. W rękę trzyma wijącego się węża. Chichoce do siebie skrycie jakby się ciesząc na jakiś doskonały żart.

III

Dominika wrzeszczała – nic, tylko jakieś poszarpane i pokłębione: „Pa... pa... pa... top...!... Pa.. ptop!...”

Zając wciąż bulgotał swoje. Pastor Hubina jednym ciosem pięści w piersi trzasnął nim o podłogę i gnał do

kuchni, Dominika za nim. Słyszał już w sieni wycie, którego nie pojął w pierwszym momencie. Błysk myśli: dlaczego ta Fryna tak dziwnie wyje? Wpadł do kuchni. Wycie szło z łazienki na oścież otwartej. Wpadł tam. Hedyta, czerwona jak rak, w wannie szamotała się rozpaczliwie nie umiejąc – obłąkana z bólu – znaleźć oparcia dla rąk, skamlała dziwnym, cienkim jakby psim skowytem, a raz grubym jakimś i niesłychanym głosem ryczała grubo i donoście. Pastor Hubina ujrzał plamę krwistą jej czerwienie, ujrzał i zapamiętał tylko dwie okropne, nagłe zmarszczki spod oczu samych aż do ust i dwoje oczu otwartych okrągło i jakby naiwnie; oczy te były już nie zielone, ale spopieliałe z męki, dziwnie zmalale, wyostrzone straszliwie, szcurze...

Wyrwał żonę z okrutnej kąpieli i niósł ją w poprzek rąk rzuconą, w strasznych ranach, w płaszczu lekkim poprzyklepianym kawałami do obnażonego nieszczęśliwego ciała. Niósł ją na łóżko Dominiki w kuchni i krzyczał:

– Po doktora, po doktora, dzieci, matka!...

W tym momencie zdało mu się, że jakiś wielki cień, jakby ptak olbrzymi przeleciał wzdłuż okna kuchennego – nie w poprzek, ale wzdłuż, to znaczy z góry na dół. Usłyszał też jakby jakiś głuchy i ciężki a miękki, tłusty upad. Ale nie zwrócił na to uwagi. Widok i ten głos przemknęły się samym brzeżkiem uwagi. Stał nad łóżkiem i krzyczał, i resztką przytomności zastanawiał się, jakby tą nieszczęsną wijącą się z boleści ułożyć. Obejrzał się po izbie. Był sam. Dominika gdzieś się podziała. Także Bogdanek, którego

przed chwilą jakby przez mgłę widział, znikł. Co się stało? – pomyślał, ale zanim pomyślał, do wycia i ryku Hedyty dołączył się nagle straszliwy – jakby nowy wulkan przerażenia – nowy skowyt Dominiki. Co się stało?! Kładł na łóżku żonę śmiertelnie poparzoną, kładł ją gwałtem, już nieuważnie, i biegł ku oknu; szarpnął nim, wychylił się.

Tam leżała Irma. Z głowy widocznie rozbitej o kamień chodnika płynęła ciurkiem krew. Oczy mętne patrzyły w niebo. Leżała na wznak. Palce blade i długie grzebały ziemię. Pies zdumiony, z sierścią najeżoną, obwąchiwał krew.

Pastor widział to wszystko, obserwował to z nagłą zimną krwią. Jakaś niebywała jasność uczyniła się na świecie. Och, nie myślcie, nie myślcie, że śmierć to ciemność! Śmierć to jest coś tak jasnego, że nie macie pojęcia nigdy, w najwspanialsze jasne dni, iż może być coś tak jasnego. Lecz nie mniemajcie, że wszelka jasność jest dobra!... Od jasności śmiertelnej cały Byt kamienieje. Czy wiecie, co znaczy raz wychylić głowę z życia i popatrzeć w wieczną nieruchomość Trwania? Rybki, po strumieniach skaczące prędkich, migotliwych! Z wody wyłowione, na brzeg niepojęty wyrzucone, brzeg śmierci! Ludzie, ludzie niecierpliwi w potokach i potoczkach czasu, z czasu nagle wyjęci i w świat rzućeni, który się zatrzymał i trwa, na wieki, na wieki, na wieki!... Kamienne milczenie, kamienna jasność żałoby.

Pastor Hubina powoli – ociągając się jakby stąpał naprzeciw niemiłego gościa – szedł na dwór. Irma

leżała z twarzą grymaśną, nieżyczliwą. Jakaś ty blada!... Przez ciemną gęstwę włosów wiła się gęsta ciemnoczerwona plama. Pies najeżony wachał, lizał z niedowierzaniem jakby próbował czyja to krew, oddalał się, wracał. Ach, jakaś ty blada, Irmo!... Pastor Hubina schylił się, położył rękę na czole, poszukał pulsu.

* * *

Uśmiechnął się dziwnie:

– A no tak – Bóg dał, Bóg wziął, niech Imię Jego będzie pochwalone!

Uśmiechał się, ręce zacierał, wąsy muskał, brodę gładził jakby z wielkiej uciechy. „Dałeś, wziąłeś, Twoje prawo, Panie Boże”!... Naokoło kręcił się krąg płaczu, wycia rozpacz, bóleści, krzyku, straszliwego z kuchni stękania żony. A on sobie stał w tym kręgu jak wielki pan, wesoły pan, obojętny na wszystko. Ludzie z sąsiedztwa nadbiegali. On tego zgiełku i ruchu nie widział. W myśliwskim ubraniu, w butach, z brodą kędzierzawą, obfitą, ze swoim czołem wspaniałym, wypukłym, z rękami w kieszeniach spodni, chwiejąc się butnie na szeroko rozkraczonych nogach jakby się czymś pysznił niezmiernie, stał nad trupem bladej dziewczyny, szalonej dziewczyny – stał i chichotał:

– Bóg dał, Bóg wziął, niech będzie Imię Jego pochwalone!...

Tymczasem zgiełk wokoło niego rósł. W jakiejś chwili zgiełk ten podskoczył nagle w górę, mętnie i burzliwie jakby nowym, nagłym przyborem wody na

rzece wezbranej. Ludzie gdzieś za tym nowym zgiełkiem i ptakiem odpłynęli, gdzieś daleko jakby na koniec świata... Co się stało?...

Wtedy pastor Hubina ujrzał przed sobą znaną sobie – gdzieś od początku świata – figurę. Kto to był? Pastor Hubina usiłował sobie przypomnieć Tarł czoło, szarpał nadaremnie włosy. To był ktoś, kto był winien w s z y s t k i e m u, łotr nad łotry! Ruszył ku niemu wielkim krokiem.

Zanim stary Zając zdołał odwiązać byczka (bo awantura awanturą, ale byczka trzeba było na jarmark prowadzić) – już dostał w pysk. Nim się zasłonił ręką, już dostał drugi raz. Upadł, podniósł się i znowu dostał. Pastor Hubina prał i młócił. Raz, drugi, trzeci i czwarty, jeszcze lepiej. Z prawej strony, z lewej strony: teraz w nos, puścić krew, i jeszcze raz w ten pysk ohydny, łajdacki; teraz za gębę złapać, rozdziawić palcami obu rąk od ucha do ucha i pluć w głąb tej paszczy rozdziawionej, pluć za wszystkie czasy, pluć i charkać za całe życie, za wszystkie śmiertelne krzywdy, za wszystko, za wszystko!... Pluć w te ślepie obrzydliwe, głupie, przerażone, podle jak cała podłość wszystkich klęsk całego świata!... Pastor Hubina bił i grzmocił jak furiat, pluł, szarpał, kopał, dusił, na ziemię wywrócił i brał się do kłania...

Tymczasem ludzie nadbiegali wciąż i w pewnej chwili pastor Hubina przebudził się ze snu. Ktoś go trzymał za ręce z całej siły, jakieś twarze zdumione, stary Zając nastraszony między nimi, podnosi się z ziemi i obciera rękawem krew kapiącą z nosa, i jakiś

nieustanny, ciągły zgiełkliwy jęk od strony domu. Co się stało?... Bogdanek, Bogdanek, krzyk nowy, bieganina, ktoś ucieka, ktoś za nim goni po podwórzu kościelnym, płomień, jakaś latająca zmora piekielna, pościg psów i ludzi, jakiś taniec ludzi i ognia, pies szarpie ogień, pastor Hubina zapada się w nową przepaść.

* * *

Do gości żałobnych na stypie w domu ś.p. Jamrózki doszła przez jakiegoś przechodnia wiadomość, że na plebanii „coś się dzieje”. Nikt nie ruszył, bo alkohole zaczęły działać, już się zaczęło robić wesoło i zacisznie, i nie było ochoty opuszczać miłego zebrania,, więc zbyto tę pogłoskę obojętnie; tylko Olesia ze ściśniętym sercem biegła do domu. Wpadła w aleję akacji do plebanii wiodącą; biła właśnie z wysokiej wieży godzina: raz, dwa. W pół do jedenastej. Ten zwykły głos uspokoił ją: jak gdyby bezwiednie pomyślała, iż nic się nie mogło stać tam, gdzie czas mija tak równo i zwyczajnie. Od strony plebanii ukazał się stary Zając ze swym byczkiem. Gdy się mijali, zawołała: „Co się stało?...”

– Eh, szkoda godać, pan farorz sprali me po pysku...

Teraz dopiero zauważyła, że starzec ma całą twarz posiniaczoną i pokrwawioną. Zaniepokoiło ją to, biegła już pędem. Przed domem zobaczyła pełno sąsiadów, z

drugiej strony nadbiegali doktor i ks. Wątorski.
Wszyscy mieli wielkie i straszne oczy.

Olesia nie płakała. Tylko uczyła się myszką. Taką małą myszką, która boi się kota. Zaszyła się w najcichszy, nie pachnący kąt domu, zamknęła się tam na zakrętkę i myślała, dumiała słodko i marzyła o tym godzinami, jak dobrze jest myszom, kiedy mają swoją kryjówkę bezpieczną, do której się kot nie dostanie. Błogie to były godziny tego dnia, tej jasnowłosej, cichutkiej Olesi!...

* * *

Pastor Hubina zapadł się w przepaść liczb. Czy pamiętacie z jakichś wysokich gorączek, z jakichś dzieciennych szkarlatyn i ódr, co się wtedy dzieje w biednej głowie? Coś tak wielkiego, że jest niepojęte aż do końca świata, niepojęte i nieobjęte, wpija się w mózg, rozgniata dno czaszki i tłoczy się przez głowę – jedną, nieskończenie olbrzymią, rozmiądzoną masą, pędzi gwałtem jak Niagara, wlecze się powoli, nieskończenie długo jakby lata mijały, jakby wieki... To są one: L i c z b y. Liczby, czyli piekło.

Czy wiecie o tym, że Liczby umieją uśmiechać się? Czy znacie uśmiech Liczb? Powiem wam, jaki to jest uśmiech: jeśli kot uśmiecha się do myszy, wyżeł do ptaka, żmija do zwierzątka, Kuba rozpruwacz do dziewczyny, Sinobrody do dziecka – taki sam jest uśmiech Liczb.

Jest w tym ruchu przez mózg – zgiełkliwym aż do mdłości, wymiotów – jest tam coś, co jest nieruchome, kamienne, nieuchwytnie, co nie jest ani okiem, ani twarzą, ani niczym, co zobaczyć można, ale co jest straszliwie wyraziste i jasne jak sama śmierć – a co uśmiecha się szyderczo. Wtedy czujesz, że to j u ż j e s t śmierć – wieczne trwanie pod brzemieniem Liczb pędzących nie wiadomo gdzie i nie wiadomo skąd, ciężkich i tłustych, uśmiechniętych; śmierć i piekło, czyli wieczne trwanie w lodzie nieruchomym tego uśmiechu szyderczego. Chciałbyś zniknąć, ale czujesz, że to właśnie już jest znikanie, które t r w a.

Tam był teraz pastor Hubina. Mijały wieki. Gdy wtem ujrzał nad sobą czyjeś dobre oczy: poczciwe ciemne oczy ks. Wątorskiego.

– Co się stało? – szepnął ze zgrozą nachylony ksiądz.

– Nieszczęście, nieszczęście...

Teraz dopiero pastor Hubina zapłakał, najżałośniejszym płaczem, męskim...

Na rzece łez – rzece gorzkiej, rzece słodkiej – odpłynął w długi, bezpamiętny sen.

Kiedy nieszczęście jest zbyt wielkie; kiedy nieszczęście jest zbyt dziwne; wtedy lituje się Matka Natura nad głową człowieka; ażeby nie zadziwił się na śmierć, kąpie go w kąpieli dziecinnej łez, otula go w powijaki skarg i żalu, oczy mu snem przesłania, ażeby łudził się, że łzami, żalem i snem – rozmiękczy los, przywróci do życia to co umarło, przekreśli i unicestwi wszystko, co się stało i już jest na zawsze.

IV

Jedna Hedyt ocalała: lekarz dawał nawet nadzieję, że wyjdzie z choroby niedługo. Ten ceber zimnej wody, którą Dominika miała jeszcze była czas wlać do ukropu, uratował Hedytę.

Pogrzeb, a raczej jak w tamtych stronach mówią – „pogrzebek” dwojga młodych samobójców odbył się w poniedziałek 26.IX.1912 r. Muszę wyjaśnić, że Bogdanek widząc, co narobił, zrozpaczony, przerażony oblał się naftą i podpalił; zginął oparzony, bez ratunku.

O Irmie wiadomo już.

Mowę pogrzebową wygłosił jeden z kolegów Hubiny, których przybyło wielu. Tłumny lud wzdychał i popłakiwał. Wszystkich oczy obróciły się na nieszczęśliwego ojca, gdy kaznodzieja głębokim głosem rozpoczął:

„Był mąż w ziemi Ur, imieniem Ijob, a ten mąż był doskonały i szczery, i bojący się Boga, i odstępujący złego...”

Słysząc szloch, Kaznodzieja ciągnął:

„I stało się niektórego dnia, gdy przyszli synowie Boży, aby stanęli przed Panem, że też przyszedł szatan między nich. Tedy rzekł Pan do szatana: Skąd idziesz? I odpowiedział szatan Panu: Okrążałem ziemię i przechadzałem się po niej. I rzekł Pan do szatana: Przypatrzyłeś się słudze mojemu Ijobowi? Mąż to doskonały i szczery, bojący się Pana i odstępujący od złego. – I odpowiedział szatan Panu i rzekł: Izaż się Ijob

darmo boi? Azaześ go Ty nie ogrodził i domu jego, i wszystkiego, co ma wokoło zewsząd? Błogosławiłeś sprawom rąk jego i dobytek jego rozmnożył się na ziemi. Ale ściągnij tylko rękę Twoją, a dotknij wszystkiego, co ma: obaczysz, jeźlić w oczy złorzeczyć nie będzie? Tedy rzekł Pan do szatana: Oto wszystko, co ma, jest w ręce twojej: tylko nań nie ściągaj ręki twojej. – I odszedł szatan od oblicza Pańskiego.

Stało się tedy niektórego dnia, gdy synowie i córki jego jedli i pili wino w domu brata swego pierworodnego; przybieżał poseł do Ijoba i rzekł:

Synowie twoi i córki twoje jedli i pili w domu brata swego pierworodnego. A oto wiatr gwałtowny przypadł od onej strony pustyni i uderzył na cztery węgiel domu tak, że upadł na dzieci i pomarły, a wszedłem tylko ja, ja sam, abym ci oznajmił.”

Znowu zaniósł się westchnienia ludu. A kaznodzieja kończył czytać z Pisma:

„Tedy wstał Ijob i rozdarł płaszcz swój, i ogolił głowę swą, a upadłszy na ziemię uczynił Panu pokłon. I rzekł: Nagim wyszedł z łona matki mojej i nagim się zaś tamże wróć. Pan dał, Pan wziął niech będzie Imię Pańskie błogosławione. W tym wszystkim nie zgrzeszył Ijob nic, a nie przypisał Bogu nic nieprzystojnego”.

Pastor Hubina stał prosty i zamyślony; nie płakał; za rękę trzymał Olesię; zdawało się, że Olesia śpi...

V

Na plebanię katolicką w Przygórzu jednego wieczora zawitał pastor Hubina. Ksiądz Wątorski przyjął go cichym uśmiechem i milczeniem pokory wobec nieszczęścia. Hubina – usiadłszy – długo milczał. Potem sięgnął do głębokiej wewnętrznej kieszeni surduta i wyciągnął stamtąd zawiniątko. Rozwijał powoli, wyjął węża. Wzdrygnął się ksiądz. Ale zaraz spostrzegł, że to dziecinna zabawka z kawałków drzewa tak dowcipnie spojonych, że przy najmniejszym ruchu ręki wąż wije się jak żywy... Ksiądz Wątorski uśmiechnął się bladym uśmiechem zrozumienia. Jakaś wieść chodziła „między ludem”, że Bogdanek złapał żmiję i rzucił ją na matkę.

Pastor Hubina, kiedy ochłonał po dniu katastrofy, zaczął się dopytywać Dominiki, co się właściwie stało: „Bogdanek wbiegł z gadem, pani przelekkła się i ...”. Hedyta, gdy już wróciła do przytomności, także mówiła o ż y w y m wężu. Pastor Hubina nie pojmował i nie dowierzał. Aż raz, po prostu, poszedł zbadać miejsce katastrofy. W piekarni–łaźni wszystko było jak w ów fatalny czwartek. Jeszcze w wannie stała woda... A na ziemi – w kącie – ujrzał pastor Hubina owego mitycznego „węża”... Rozglądał się naokoło, ażeby jeszcze znaleźć jakieś martwe świadki katastrofy – i zobaczył na ziemi pakiecik ze sklepu: w nim były żółte sznurowadła do bucików turystycznych. Zastanowił się: z głębokiego zapomnienia – jakby spod długich minionych lat – zaczął wydobywać szczegóły owego

poranka. Teraz sobie jak przez mgłę przypomniał, że Irma posyłała Bogdanka po sznurowadła do Kaduloczki. Poszedł do niej: wąż był w jej obecności kupiony przez dziecko od Kasperlika: pamiętała to. To było wszystko. Kogo karać? Na kogo żalić się? Jakiego szukać „gdyby nie to, to by nieszczęścia nie było”? Nie. Nagi bezsens bez patosu, bez tragizmu. I teraz pastor Hubina – sam o tym nie wiedząc – mozolił się nad dorobieniem logiki, winowajcy, patosu przyczyn, który by dorównał choć z daleka wielkości nieszczęścia. Wszystkie „przyczyny” nieszczęścia, które odnajdował, były logicznym absurdem. Na przykład gdyby nie było polowania w Tryślach, to by się nic nie było stało, więc polowanie miało być przyczyną wszystkiego?!... Dziecinada. Ale tak samo pogrzeb Jamrózki mógłby uchodzić za „przyczynę”, boć, gdyby nie to, to by byli rano pojechali, nie byłoby gorączkowego pośpiechu itd. – ale nikt mający jakie takie pojęcie o logice nie mógłby tu – między tym, co się stało, a pogrzebem – rozsunąć jakiejś nici przyczynowej.

Czyżby Hedyt była winna, że akurat tego dnia kazała sobie nagotować tę kąpiel nieszczęsną? Brednia! Lecz czemu – wbrew swemu zwyczajowi – zamiast, jak zwykle, wieczorem, rano się kąpała? Ależ to błahostka, drobnostka bez związku logicznego z nieszczęściem. Skądże jednak ta wówczas niecierpliwość u Hedyty, ten jej pośpiech z kąpielą? Gorącą kąpielą? Gdyby pastor Hubina nie był – mimo swego refleksyjnego usposobienia – tak dobrodusznie naiwny, to może by jego myśl poszła w tym kierunku... Może by był sobie

przypomniawszy dni poprzedzające straszny czwartek, pragnienie wyjazdu u Hedyty, jej skryty niepokój, swoją własną cichą nadzieję...

... Myśl pastora Hubiny, w wędrówce maniackiej za przyczynami tego, czepiała się pomysłów wprost absurdalnych. Na przykład: gdyby Kaduloczka nie miała sklepu tuż w pobliżu, to by się to nie było stało, bo by Irma nie była posyłała Bogdanka naprędce; a więc – Kaduloczka winna i może przeklinać chwilę, kiedy jako dziecko została uratowana przez Hedytę z wody?... Przyłapywał się na takich rozumowaniach i mówił sobie: „Stop! Jadę w obłąd!” Ale myśl, która nie mogła pojąć ni przyjąć, aby tak wielkie rzeczy mogły być rozpętane przez nonsens błahostek, szukała dalej przyczyn i winowajców. Teraz o tym nudnym Zającu pomyślał: może to on winien? Cóż on? I w tej chwili z zapomnienia wyłoniła się przed wyobraźnią scena: jak katuje Zajęca...

– Czy to prawda, że ja skatowałem tego biednego Zająca?

– Tak coś powiadają ludzie, ja nie widziałem – odparł ks. Wątorski z widocznym zażenowaniem.

Teraz pastor Hubina przypomniał sobie wszystko najdokładniej. Zamyślił się.

– Bądź co bądź załamałem się... Ohyda, hańba... Wstyd... i coś monstrualnego, nieczystego...

Ksiądz próbował go pocieszyć.

– Nie – uparł się – załamałem się haniebnie. I boję się, że nie tylko ja...

Zamilkł. Zaczął znowu.

– Nie tylko ja...

Ksiądz dyskretnie nie nalegał. Pastor Hubina westchnął głucho.

– Obawiam się, że Hedyta straciła wiarę... A ja nie umiem dać jej nic prócz dialektyki. Ale dialektyka teraz – to jakby... bluźnierstwo... – dokończył ciszej.

Ksiądz Wątorski wiedział, co by powinien odpowiedzieć; szukał słów odpowiednich. Tymczasem pastor Hubina snuł dalej jakby do siebie:

– Jakiś bunt, głuchy ale straszny, jakby się w niej całe życie minione zbuntowało. Całe wychowanie... całe nasze... A ja z tymi słowami... pociechami... religijnymi... czuję się jakiś zawstydzony... Chyba nie ma w mym tonie nic komedianckiego? Chyba wierzę w to, co mówię?... Także Olesia dziwna... Wszystko się zawaliło... Nie zapłakała ani razu. W każdym razie ja tego nie widziałem. Może by ją do muzyki?... Może się w niej coś r o z e g r a, coś wzruszy?... A żona, gdyby gdzie wyjechała? Teraz? Teraz, w takim nieszczęściu mamy być osobno? Tak mi się wydaje, że jak teraz nie będziemy razem, to damy zgodę na to, że... Na przeszłość... Bo to jest najdziwniejsze, że przeszłość... przecież było dobrze, całkiem dobrze, a teraz jakby się wszystko przekreśliło... Jakby wszystko było inaczej niż było naprawdę...

To był taki cios boczny, znienacka, podstępny. Jakby w to tajne miejsce, gdzie się dusza zrasta. Teraz wszystko się rozpadło, na kawałki. Jakaś wielka nielojalność...

Ksiądz chciał przerwać, ale pastor Hubina mówił dalej:

– Bo gdyby były zapowiedzi, jakieś wypowiedzenie wojny... Teraz sobie przypominam, kiedy to wszystko porządkuję, że Irma miała kiedyś złe przeczucia, jakieś sny, jakiś przesąd o czwartku – ależ to zabobon i dziecinada!... To przyszło...

– Jak złodziej... – wtrącił ks. Wątorski.

– Ale żeby człowiek przynajmniej mógł być uzbroić się, bylibyśmy może dusze ocalili, jeśli już jakieś nieszczęście było przeznaczone...

– Całe życie powinno być przygotowaniem, samiście nieraz powtarzali!

– No tak, pamiętam, pamiętam; te narzekania moje – to nowe moje załamanie się. Co robić? „Bo strach, któregoś się lękał, przyszedł na mnie”... uśmiechnął się blado. – Jestem dojrzały, jestem mężczyzną... Ale o n e ?...

Hubina podniósł się i zegnał się pośpiesznie.

Szedł przez miasto ciemne, od śniegu bielejące w ciemności. Było już pusto. Kiedy wiatr na chwilę przygasał, słychać było ciężki bieg pociągu, który o tej godzinie odchodził z Przygórza na zachód. Zadymka wzmagająca się. Na podwórzu kościelnym wywijały nagimi gałęziami i skrzypiały konarami wysokie drzewa. Bardzo wysoko, na dachu kościoła, w beznadziejnej przestrzeni ciemności wiatrem skłębionych, śniegu lecącego jak szarańcza północy – skrzypiał, kręcił się, podskakiwał, chwiał się, szalał jak furiat, piał i wrzeszczał wniebogłosy blaszany kogut:

– Ludzie, ludzie chrześcijańscy!...

Kiedy pastor nadchodził do domu, już tylko świeciło się na dole w kuchni. Tuż pod samym domem dogoniła go Fryna, biegnąca od strony miasta. Zdziwił się; pies o tej porze zawsze w domu. Z bijącym sercem dzwonił (teraz każdy powrót do domu, każdy list przyprawiał go o bicie serca). Trwało długo nim usłyszał dreptanie Dominiki. Zgrzytała kluczem w drzwiach. Otworzyła wreszcie, podniosła latarkę. Ujrzał na tej twarzy jakby czerwone ślady niedawnego płakania.

– Co się stało? – zawołał zdyszany.

Dominika zaszemrała płaczliwie:

– Pani pojechała.

* * *

Ze względu na słuchaczy, którzy by opowiedzianą historię uważali za nieprawdopodobną, przeczytam Państwu wycinek z gazety:

DREWNIANY WĄŻ POWODUJE TRAGEDIĘ

Na podwórzu szkoły w Tanta we Francji dzieci bawiły się węzem z drzewa bardzo podobnym do prawdziwego, czyli takim, jakiego można kupić w każdym sklepie z zabawkami. Jeden z chłopców zabrał tego węża do domu i chcąc splatać figla rzucił go do kuchni na podłogę.

Matka, która stała właśnie przy ognisku kuchennym, na widok drewnianego gada tak się przeraziła, że zemdląta

i wpadła do kotła z wrzącą wodą stojącego właśnie na ziemi. Nadbiegły na to dwie córki: jedna z nich tak się przestraszyła gada, że również zemdląca, a druga wyskoczyła przez okno, przy czym bardzo się potłukła. Sąsiedzi zaalarmowali ojca i zanim ten przyszedł, młody sprawca oblał się benzyną i podpalił swoje ubranie doznając śmiertelnych oparzeń.

(„I.K.C.”, 16.VI.1935 r.).

Jak Państwo widzicie, w mojej przeróbce to dziwne zdarzenie wypadło straszniej; ale to zmiana nieważna – jeden samobójca czy dwoje samobójców – to już tylko kwestia ilościowa; dość, że stało się wielkie nieszczęście z powodu niezmiernie błahego. Jest ponadto w moim opracowaniu tego rzeczywistego faktu inna, głębsza i ważniejsza zmiana. W notatce dziennikarskiej nie ma żadnego doniesienia o czyjejkolwiek winie; nieszczęście jest całkowicie przypadkowe, absurdalne, żadne przewinienie nie dodaje mu sensu. W moim opowiadaniu występuje element winy. Nie trudno się domyślić, czyjej... Co prawda i ta wina nie ma logicznego związku z eksplozją nieszczęścia.

Ale Irma! Gdyby nie przestach Hedyty i jej nieszczęśliwy przypadek, byliby może jeszcze pastor z córką na pociąg zdążyli: pastor byłby się jednak z nudziarzem natarczywym uporał, a Irma już była właśnie na tę prostą myśl wpadła, że niekoniecznie musi jechać w obuwii turystycznym i czekać na Bogdanka. Może by więc Irma była się z Jerzym w ów piękny

czwartek wrześnieowy spotkała... Możliwe jednak, że byliby się nasi wycieczkowicze na kolej spóźnili: dla Irmy byłoby to okropne, dla pastora dość niemiłe. Może by jednak wtedy pastor Hubina dał się namówić biednej dziewczynie, ażeby jakieś przecie konie znaleźć i na miejsce polowania w Trysłach podążać. Gdyby jednak pastor Hubina córce nie uległ i już tego dnia z rozrywki myśliwskiej zrezygnował – to choć dla Irmy byłoby to straszne, nie ma powodu jednak przypuszczać, aby doszło było do katastrofy takiej jak owego dnia. Irma byłaby cierpiała wiele, aleć i nadzieja na pewno nie byłaby jej opuściła; w końcu nie wszystko było z odjazdem Jerzego stracone; poza tym córki pastorów i w ogóle dzieci pobożnych domów nie tak łatwo popełniają samobójstwo. Może zresztą Irma nie chciała popełnić samobójstwa? To nie był akt namysłu, świadomej woli; ot, chwilowy nagły rozstrój na skutek zageszczenia się przeciwieństw, wielkiego zniecierpliwienia, obawy wielodniowej. Nagłego przerażenia, przesądu o dniu nieszczęśliwym?

Nie naciskam już na tę kwestię, kto był winien; ale tu mam inną wątpliwość, z której się zwierzę: dlaczegóż wprowadziłem element winy? Czyż musi być wina tam, gdzie jest nieszczęście?! Dlaczego nie stanąć oko w oko z notorycznym faktem nieszczęścia niewinnych? Czyż nie osłabiam problemu nieszczęścia, czyż nie osłabiam go nawet w porównaniu z podaniem Pisma św., jeśli ulegam pokusie usprawiedliwienia nieszczęścia czyjąś winą, choćby tylko winą pośrednią i nielogiczną?

Kontroluję sam siebie: dlaczego nie zdobyłem się na przedstawienie nagiej zgrozy przypadku?... Czy może dlatego, że bez czyjejś winy – winy w półmroku, tajemniczej – cała ta katastrofa wypadłaby trywialniej? Czy więc estetyczny efekt domaga się winy tam, gdzie katastrofa nie ma żadnego osobowego autora wynikając z samej ślepej zbieżności czasów – ani logicznie, ani pragmatycznie z sobą niepowiązanych?... Czy katastrofa jawnie przypadkowa pozbawiona jest tragicznego piękna i w ogóle tragizmu?

Ależ właśnie ta niewspółmierność przyczyn z wielkością katastrofy stwarza nowy tragizm: tragizm ostatecznego osamotnienia. Nie ma kogo przeklinać, bo nie ma autora katastrofy; nie można bólu obrócić w gniew, nawet nie ma przed kim skarżyć się, bo umysł ludzki nie przyjmuje spraw dziwnych bez autora. Katastrofy bezautorskie nikogo nie przejmują, nikomu nie chce się o nich myśleć. Dlatego, kto padł ofiarą katastrofy przypadkowej, jest najsamotniejszy z samotnych. Opuszcza go nawet piękno.

Dlaczegoż więc, ulegając współczuciu, nie spróbować dać wyraz takiemu nieszczęściu, które nie ma żadnego winowajcy – ani człowieka, ani szatana, ani Boga? I dlatego mam wątpliwość, czym nie uległ pokusie ułatwienia sobie zadania, czym nie poszedł na pewną kokieterię, czym nie przerobił problemu na słabszy – jeśli, zamiast katastrofy nago absurdalnej, opowiedział katastrofę, choćby tylko częściowo i pośrednio, ale bądź co bądź jakoś zawinioną...

Lecz jeszcze jedno: ma swoją obietnicę wina. Wina, któż wie, może to jest podkop tajny w szańcu magicznym dobrej woli, a tamtędy, tą wyrwą, tą luką skrytą – któż wie, może wkrada się w systemat życiowy człowieka Złodziej?...

Szatan jest lepszy niż Pustka Przypadku. Bo jeśli się rzeczywistość zdobyła na szatana – nie jest możliwe, aby się nie była zdobyła na Boga. A wtedy jest dno. Mimo wszystko i wbrew wszystkiemu, i ponad wszystko, i pod wszystkim.

A wtedy jest dno. Ostatnie ciche dno...

Karol Ludwik Koniński
Straszny czwartek w domu pastora

Redakcja: *Anna Oldak, Hanna Milewska*

Projekt okładki:
STUDIO OŻYWIANIA KSIĄŻKI KARTALIA

Copyright © for the e-book edition
by FUNDACJA FESTINA LENTE 2013

Warszawa 2013

ISBN 978-83-7904-377-4

Fundacja Festina Lente
ul. Nowoursynowska 160B/7
02-776 Warszawa



FUNDACJA
FESTINA LENTE

www.festina-lente.org.pl



www.chmuraczytania.pl



www.eLib.pl